

MICHAŁ GOŁĄB

S.O.S. CZĄSTKOWY



RANDKA / KILKA LAT WCZEŚNIEJ

Nie jestem wysoko funkcjonującym alkoholikiem, ba, nie jestem nawet wysoko funkcjonującym abstynentem. Nie funkcjonuję. Ani wysoko, ani nisko. Przestałem funkcjonować. Zepsułem się dawno temu. Wiele razy słyszałem, że nigdy nawet nie zacząłem funkcjonować, bo nie wiem, dokąd zmierzam. A ty wiesz? O naiwności.

Nie wykułem sobie życiowej drogi. Nigdy nie czułem takiej potrzeby. Może nie potrafiłem. A może czułem podskórnie, że planowanie czegokolwiek to tylko iluzja. Rodzice nawet nie próbowali wpoić mi, że życie leży tylko i wyłącznie w moich rękach. Ta strona naiwności również była mi obca. Może podświadomie czułem, że liczy się przede wszystkim tu i teraz, choć nie miałem pojęcia, co to „tu i teraz” oznacza. Zwykle oznacza punkt zero, ale punkt zero ma różne oblicza.

Zero. Oto jestem.

Teraz miałem ochotę na randkę. Nawet nie ochotę. Potrzebę. Potrzebowałem innych oczu, by choć przez chwilę zobaczyć, że wciąż istnieję. Na razie roztopiałem się, rozpływałem, zamieniałem w opadającą pianę na

powierzchni kufla. Zaraz zniknę, wleję w siebie pianę, piwo, potem je wyszczam i zniknę.

Przy barze siedzę tylko ja, akustyk z dołu i smutna dziewczyna na samym końcu. Dla niej to pewnie taki sam koniec jak i dla mnie. Dla niej zdecydowany koniec, bo już ciężko jej usiedzieć prosto na barowym stołku. Co jakiś czas przeciera pojedynczą łzę, potem sięga po telefon, coś pisze, pociąga łyk piwa i gapi się przez dłuższą chwilę w lustro wiszące za barem. Potem znowu ła i kolejna wysłana bądź odebrana wiadomość. Nie, to nie ona. To nie byłaby randka, tylko wzajemne pocieszanie. Pocieszanie też mi nie wychodzi. Zwykle jest irytujące. Nikt nie lubi słuchać, że to wszystko jeszcze się ułoży, że coś tam czeka lepszego, że to tylko etap, noc, po której znowu wstanie dzień. Nikt nie potrzebuje pocieszeń, tylko gotowych rozwiązań, magicznej pałeczki do usuwania przeszkód. Buldożer by się, kurwa, przydał albo bazuka, albo maczuga zbója Łamignata.

Odkręciłem się na barowym stołku i spojrzałem na salę w poszukiwaniu nieco trzeźwiejszej dziewczyny, ale chyba o tej porze trzeźwiejsze dziewczyny już grzecznie śpią albo układają sobie kolejny trzeźwiejszy dzień. Może siedzą z książką w fotelu albo przed laptopem. Nie mam siły otwierać gęby i silić się na zapoznawczą gadkę. Nie mam siły wstać od baru.

Wyciągam komórkę i sprawdzam profile na portalu randkowym. To prosta wymiana oczekiwań. Subtelne naiwności, ale bez przekraczania granic absurdu. Nie trzeba

ściemniać. Można chwilę poudawać, pofantazjować, dostarczyć sobie malutką działkę dopaminy. Do tego właśnie stworzyli takie portale. Dla takich jak ja. Nie trzeba nawet się umawiać. Wystarczy odrobina wyobraźni.

Roześmiana blondyna, opalona jakby dopiero ją wypuścili z solarnej kapsuły. Skwarek. Nie, nie chcę skwarka. W zainteresowaniach wpisała samochody i podróże. Nie stać mnie ani na jedno, ani na drugie. Odpada. Następna ruda. Wygląda na bdsm. A jak odgryzie mi kutas, a w dupę wsadzi dildo? Odpada. Brunetka, sympatyczna, ładny uśmiech. W zainteresowaniach wpisała imprezy i seriale. OK, może być. Lajkuję i piszę wiadomość. Cholera, po „cześć” nie wiem, co napisać. Tak od razu o randce? Zaprosić ją na wino? Czemu nie. W końcu o to mi chodzi. Wysłałam. Poszło. Czekam na odpowiedź. Pewnie trochę poczekam, więc szukam dalej. Znowu ciemna, długie czarne włosy, ale trochę smutna. W zainteresowaniach książki i Skandynawia. Na profilowym widać tylko głowę i nagie ramię. Może to część nagiego zdjęcia. Piszę:



Cześć. Nie wiem, od czego zacząć, ale to portal randkowy, a taki jest mój cel. Randka. Zwyczajnie miło spędzić czas, pogadać i zobaczyć, co się wydarzy. Spokojnie, jestem normalnym kolesiem. Chodzi mi o klasyczną randkę. Chwilę rozmowy. A Ty czego tutaj szukasz?

Poszło. Co znaczy „klasyczna randka”?

– Grzechu, jeszcze jedno? – zapytał Siwy. Barman, którego znam od dziecka. Wychowaliśmy się na jednym

osiedlu, blok w blok. Kilka lat młodszy. Za dzieciaka Siwy szwendał się z Rudym. Co ciekawe, Siwy wcale nie był siwy, a Rudy nie był ani odrobinę rudy, ale ksywy nadał im starszy brat Rudego, który był daltonistą. Ksywy się nie kleiły, jednak starszyzna takie nadała i trzeba było przyjąć to z honorem.

Gdy przyjeżdżałem z Anglii, pierwsze kroki kierowałem właśnie tutaj do Antycafe i Jazz Rocka. Widok Siwego za barem zawsze mnie uspokajał. Był jak latarnia morska przyciągająca spokój.

– Daj, Siwy. I jeszcze jedną pigwę. Chwilę tu posiedzę – mruknąłem, nadal przeglądając profile na randkowym portalu.

Pojawiła się wiadomość:



Cześć, zjebana jestem. Odezwę się, jak wrócę do Polski.

To ta od seriali i imprez. OK, może i lepiej. Mam tylko nadzieję, że „zjebana” odnosi się do stanu zmęczenia, a nie do charakteru. Zobaczymy.

– Dobrze, że wróciłeś – zagadnął Siwy, stawiając przede mną kolejny kufel i duży kieliszek z pigwówką. Szczerze cieszył się, że stare klocki znowu się układają.

– Nie wróciłem. Niebawem znowu wyjeżdżam.

– Na długo?

– Tym razem już na dobre – wyrzuciłem z siebie szybko i od razu zapiłem te słowa piwem. Ze spojrzenia Siwego odczytałem, że nie uważa tego za najlepszy pomysł.

– Może jednak wróciłbyś do branży? Albo, w razie czego, zawsze możemy zamienić się miejscami – proponował i otwartymi dłońmi klepnął w kontuar.

– Jeszcze więcej pijanych klientów? Wystarczą mi chyba moi. Przynajmniej nie zalegają przy barze bez końca. A z branżą już się pożegnałem. Pewne powroty warto sobie wybić z głowy. Za stary już jestem na takie fikołki. Za to Amsterdam brzmi całkiem nieźle. Albo Norwegia. Jak najdalej na północ. Tam, gdzie zimno, ciemno i spokojnie. To dobre miejsce dla mnie. Takie koło podbiegunowe.

Spojrzałem w lustro za barem. Też jestem zjebany. Wyglądam na zjebanego. Gdy dobijasz do pięćdziesiątki, nie powinienes patrzeć w lustro w barze, zwłaszcza gdy siedzisz sam nad szklanką piwa i małą szklaneczką pigwy. Ta szklana para jest bardziej dopasowana do siebie niż większość żywych par. Czas się wycofać. Tak całkiem. Znaleźć jakiś krzak i pod nim wyschnąć. Albo chłodzić. Nie zawracać już głowy ani sobie, ani nikomu innemu. Nie zacząć już nowego życia. Nie po tym wszystkim. Norweskie śniegi i noce jawiły się jako idealny plan na resztę życia.



Miłości tu szukam.

Smutna od książek i Skandynawii chyba sama nie wierzy w to, co pisze. Widać, że jest poharatana. Inaczej nie byłaby smutna. I też nie myślałaby o Skandynawii.

No to chyba długo poszukasz.



To chyba nie jest odpowiednie miejsce na szukanie miłości.
Tutaj ludzie spotykają się na szybką randkę.
Ja też niczego więcej nie oczekuję. Uważaj na zjebów.
Nie brakuje tutaj takich. Powodzenia. Cześć.

OK, to nie był dobry pomysł. Wlałem w siebie pigwę i resztę piwa. Czas się przespać. Dziewczyna na końcu baru nadal z kimś pisała i płakała na przemian, a akustyk obok zaczął przysypiać. Głowa opadała coraz niżej. Trzeba uciekać, zanim jego wielkie cielsko zwali się na podłogę albo na mnie. Zanim wszystko się zawali.

PUSTKA/MODLIN / KILKANAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Mroźny wiatr uderzył mnie w twarz tuż po tym, jak autobus wypłuł mnie pośrodku ogromnego pola. Przedemną stał ten wielki, ohydny blaszak służący jako terminal. Lotnisko w najmniejszym stopniu nie przypominało Chopina. Idąc tropem muzycznych patronów, to bardziej taki Dezerter. Resztki zlodowaciałego śniegu wyczekiwały niepewnego kroku, zachwiania, upadku. Nie ma sprawy. Mogę rozkwasić sobie ryj. Na zdrowie.

Wielkie, puste, brudne i złowrogie pole z tym wielkim, ohydny czymś. Nawet pasy startowe i samoloty dyskretnie czaiły się z tyłu. Coś tam przecież było za blaszakiem, ale nie widziałem tego. Widziałem tylko oblepione brudnymi resztkami śniegu pole. Nade mną podobnie brudne i mroźne niebo. Nieczułe, ciemne, surowe. *Coś tam musi być – powtarzałem w myślach – coś tam musi być, do kurwy nędzy.*

Styczniowy poranek w takim miejscu nie napawa optymizmem. W tym momencie nie potrzebowałem

optymizmu. Wystarczyła mi niedomknięta brama, przez którą mógłbym się prześlizgnąć, uciec, złapać trochę tlenu w płuca.

Zapaliłem papierosa i zaciągnąłem się głęboko. To prawdopodobnie ostatni krajowy fajek. Za kilka godzin już będę się zaciągał na obcej ziemi, na wyspie. Może lecę w jeszcze większą pustkę niż to pole. Może nic tam nie ma. Może samolot wcale nie wystartuje albo rozbije się po drodze.

Katastrofa już mnie nie przeraża. Śmierć mnie nie przeraża. Jedynie kąpiel w mroźnym morzu. W kurtce z militarnego sklepu, grubym swetrze, zimowych butach, podwójnych skarpetach, spodniach i kałesonach nasiąknę jak gąbka tysiącami mroźnych igieł, zanim pójde na dno, a w takim ekwipunku pójde bardzo szybko. Przeszywające zimno przerażało mnie najbardziej. Nie sądziłem, że to dopiero początek chłodu, a we wszechogarniającym chłdzie opadanie i wypływanie niewiele się od siebie różnią.

Jeszcze mam czas. Jeszcze nie muszę wchodzić do środka. Jeszcze mogę sobie postać na brudnym, obludzonym chodniku, pośrodku brudnego, zimowego pola, pod brudnym, chłodnym niebem. Wiedziałem, że gdy przekrocze próg terminala, zacznie się nowe. Cokolwiek to jest, będzie inne niż to, co zostawiam za sobą. Czy może być jeszcze gorzej? Może lecę tylko po to, żeby zdechnąć na wyspie? Nie ma sprawy. Na zdrowie.

Czekałem, mimo że w środku wszystko we mnie krzychało: *Idź już, spierdalaj! Tutaj nic na ciebie nie czeka!*

Na lotnisku warto trzymać się przynajmniej trzech podstawowych zasad. Po pierwsze, nie należy żartować na temat bomb. Słowo „bomba” powinno zniknąć z lotniskowego słownika. Nawet zwracając się do swojej ukochanej, można darować sobie stwierdzenie „wyglądasz jak seksbomba”. Nawet jeżeli faktycznie tak wygląda. Obsługa lotniska nie zna się na żartach, a zwłaszcza tych ze słowem „bomba”. Po drugie, ważniejsze, żadnej nie powinno się pakować, zarówno do bagażu podręcznego, jak i rejestrowanego. Spotka się to z ostracyzmem obsługi lotniskowej, oceniającymi spojrzeniami oraz bierną agresją (a czasem nawet czynną). W skrajnych przypadkach należy spodziewać się ze strony strażników bomby w nos. Po trzecie, warto być na tyle trzeźwym, by nie zatracić życzliwej komunikacji z innymi, jak i z samym sobą.

Byłem trzeźwy jak skała. Dzień wcześniej wypilem szklaneczkę wina, upewniłem się, czy spakowałem wszystko, czego potrzebowałem i wcześniej położyłem się spać. Tamtej nocy już mnie tam nie było, choć jeszcze nie wyruszyłem w podróż. Jeszcze nie wsiadłem do samolotu. Byłem w próżni, dryfowałem, unosiłem się w stanie nieważkości. Nie pamiętam, czy zasnąłem. Zamknąłem oczy, otworzyłem je chwilę przed budzikiem, wstałem i wyszedłem.

Ten stan pomiędzy jest stanem bardzo wrażliwym, delikatnym niczym piórko na wietrze. Możesz unosić się, a nawet najmniejsze podmuchy wiatru zanoszą cię w miejsca, o których istnieniu nie zdawałeś sobie sprawy.

Jednak gdy zmoczy cię deszcz, zalejesz się potem, ogarnie cię panika, wtedy piórko straci swoje właściwości unoszenia się. Spadniesz jak kamień, rozbijesz się na jeszcze więcej kawałków. W próżni nie machaj rękami. Nie pozwól też, by kto inny machał rękami w twojej przestrzeni. Dojdzie wtedy do dekompresji i wszyscy zginiecie. Jeżeli jesteś zawieszony w próżni, po prostu bądź. Wiatr zanieś cię w odpowiednie miejsce. Tak, bo wiatr w końcu nadejdzie.

Przechodząc przez bramkę na lotnisku, jesteś bezbronny jak dziecko. Zdejmujesz buty. Człowiek bez butów w hali pełnej obcych ludzi, którzy również zdejmują buty. Każdy zaczyna znaczyć teren swoją wonią, a jednak nie może zrobić nic. Jedyne co może, to zadbać o to, żeby skarpeta nie była dziurawa. Jak przy pierwszej randce, kiedy lądujecie razem w domu. To zażenowanie (po obu stronach) zostaje na długo. Czasem nie dochodzi nawet do drugiej randki, nie wspominając już o innych dojsiach.

Buty wkładasz do plastikowej kuwety i stawiasz na taśmie. Ląduje tam również pasek podtrzymujący spodnie. Jeżeli nie utrzymają się na dupie, leżysz przybity kolejnym gwoździem wstydu. Jeżeli nie utrzymają się na dupie, cały świat, a przynajmniej lotniskowa mieszkanka z części świata, zobaczy twoje gacie. Tak na marginesie, brązowe bokserki nie są dobrym rozwiązaniem. W ten sposób nie oszukasz systemu. I tak trzeba je w końcu wyprać.

Prześwietlą wszystko i jeżeli nie znajdą w rzeczach niczego podejrzanego, pozostaje jeszcze czujnik metalu.

Kolejne krople potu. Nawet jeżeli jesteś bez paska, butów, zegarka, łańcuszków, masz opróżnione kieszenie, serce przyspiesza, bo boisz się, że czerwone lampki i sygnał alarmowy ściągną na ciebie spojrzenia wszystkich w zasięgu kilkunastu metrów. Dlaczego czujnik miałby się wyłączyć? Od ciężkich jak ołów jaj? Od żelaznych mięśni? Od zakutego łba? Wszystko jest możliwe. Wystarczą tępe myśli. Trzeci gwóźdź wstydu.

Zanim przejdiesz do bezcłowej strefy, już skruszałeś. Nawet jeżeli nic poważnego się nie wydarzyło. To dlatego schodzi tam tyle wody. Lek na zawstydzenie, poniżenie, ocenianie i wszelki lęk. Czy to nie dziwne, że ten jeden mały ogonek przy literze „e” tak potrafi zmienić znaczenie słowa?

Na bezcłowie nie kupiłem alkoholu. Nie wlałem w siebie nawet kropli ani przed, ani podczas lotu. Jeszcze nie poradziłem sobie z tym, co się stało. Nie wiedziałem nawet, co się właściwie stało? Doznałem cudu? A może to całe gównie pomieszało mi w głowie? Nie mogłem zalać bólu i lęku, bo nie potrafiłem go zlokalizować. Nie mogłem świętować, bo jak tu świętować upadek i porażkę?

Czułem tylko, że ten etap życia został pogrzebany, a banicja wcale nie będzie kolorowa. Wolałem przyjąć ją na trzeźwo. Nie wolałem, musiałem. Nie miałem innego wyjścia. Mogłem tylko wpakować swoje mięso do rury i wysłać na wyspę albo gdzieś w pizdu w kosmos, albo na drugą stronę. Katastrofę lotniczą wciąż bowiem brałem pod uwagę.

Mroźny wiatr uderzył mnie w twarz
tuż po tym, jak autobus wypłuł mnie
pośrodku ogromnego pola. Przede mną
stał ten wielki, ohydny blaszak służący
jako terminal. Lotnisko w najmniejszym
stopniu nie przypominało Chopina. Idąc
tropem muzycznych patronów, to bardziej
taki Dezerter. Resztki złodowaciałego
śniegu wyczekiwały niepewnego kroku,
zachwiania, upadku. Nie ma sprawy.
Mogę rozkwaśnić sobie ryj. Na zdrowie.

Wielkie, puste, brudne i złowrogie pole
z tym wielkim, ohydny czymś. Nawet
pasy startowe i samoloty dyskretnie
czaiły się z tyłu. Coś tam przecież było
za blaszakiem, ale nie widziałem tego.
Widziałem tylko oblepione brudnymi
resztkami śniegu pole. Nade mną
podobnie brudne i mroźne niebo.
Nieczułe, ciemne, surowe. *Coś tam
musi być* – powtarzałem w myślach –
coś tam musi być, do kurwy nędzy.
(fragment książki)

KSIAŻKA O MIEJSCU, W KTÓRYM JESTEŚ!

„Sos Cząstkowy” to przejmująca, pełna
nadziei i sytuacyjnego humoru opowieść
o poszukiwaniu sensu, własnej wartości
i godności. Czterdziestoletni Grzech
Michalski po załamaniu psychicznym,
wyjeżdża z kraju, by zacząć wszystko od
zera. Bez języka, bez prawa jazdy, bez
przydatnych umiejętności. Czy odnajdzie
to, czego już dawno przestał szukać?
Wątek emigracyjny przeplata się
z mozaiką nocnego Krakowa, w której
przewijają się barwne postacie będące
swoistą lekcją dla bohatera. To opowieść
o przemianie życia, która zaczyna się
wewnątrz Ciebie. Historia prawdziwa
o miejscu, w którym jesteś, a tym
miejscem jest nieustanna droga...



urodzony w 1977 roku w Krakowie poeta,
pisarz i wdzięczny smakosz życia.
Po dwóch częściach bajki o pająku filozofie
(„Mów mi Paj”, „Twój Przyjaciel Paj”),
tomiku wierszy pt. „Drzemki” oraz
serii tekstów piosenek dla Mampo
Gwizdek, nadszedł czas na poważną
(choć okraszoną dużą dawką humoru)
powieść, w której każdy, w mniejszym
lub większym stopniu, może się odnaleźć,
czego autor życzy z całego serca.



*Łukasz Cora
Grzegorz Cora*

